

**XVII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienicki Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2019
Dorota Mieszka – kategoria młodzież – proza – I miejsce**

Godło: Mochi

Opus dwudzieste trzecie, numer pierwszy

W małym pomieszczeniu zapadł już półmrok, ciemność przełamana jedynie ostatnimi promieniami słońca chowającego się za horyzont, które odbijały się jeszcze w nieco odrapanym już lakierze stojącego na środku fortepianu. Pokój sprawiał wrażenie opustoszałego – oprócz instrumentu i równie podniszczonego stołka nie było w nim żadnych mebli – ta ocena nie mijala się też wiele z prawdą, bo bywalców tego miejsca można było policzyć na palcach jednej ręki, gdzie większość stanowiły panie sprzątające.

Grający mieli do wyboru o wiele lepsze niż ta sale – czekały tam na nich lepszej jakości, nowsze instrumenty, przestronniejsze przestrzenie, wmontowane chłodzenie, pomieszczenia znacznie lepiej przystosowane do całodniowego grania w upalnych temperaturach czerwca.

Lekko przygarbiona postura zajmowała stary stołek, kruczoczarna czupryna mokra od potu w warunkach pomieszczenia. Siedział, wpatrując się w zachód słońca za oknem, by zaraz przenieść zamyślony wzrok na instrument. Westchnął i wyprostował się lekko, przygotowując się do gry, pozycjonując palce nad klawiszami.

Wśród gości tego pomieszczenia był on jedynym, który używał go zgodnie z jego przeznaczeniem, co nie umykało uwadze nikogo, kto zaobserwował, że jedyna zajęta ze starych sal jest codziennie przez niego wybierana, mimo innych, lepszych. Sam przyzwyczał się już do komentarzy pani na recepcji, która próbowała dociec, dlaczego dokonuje takiego wyboru, on natomiast jedynie uśmiechał się uprzejmie, nie wiedząc, czy byłby w stanie podać logiczną odpowiedź na to pytanie.

Jego ręce spoczęły na klawiaturze, pierwszy akord utworu rozbrzmiał echem dookoła w głuchej ciszy okolicy. Zatrzymał się na chwilę, niedługą, która w odczuciu nieobecnych słuchaczy zapewne trwała nie dłużej niż sekundę, dla niego jednak ciągnęła się w nieskończoność. Palce powędrowały dalej, w oktawach grając dalszą część melodii, naciśnięty pedał rozbrzmiał głucho, melodia, która wydawał się radosna, zesłała do rangi smutnej opowieści.

Skupione oczy chłopaka kontrolowały precyzję palców, pilnując każdego wykonywanego ruchu, lecz on sam w każdym drobnym momencie zatrzymania szukał w odgłosach czegoś więcej niż tylko własnego echa. Prowadząc dalej melodię i wprowadzając temat utworu, intuicja sama poprowadziła go dalej, znając każdy głośniejszy i cichszy moment, każde arpeggio i accelerando, tak, że on sam nie skupiał się już dłużej na dźwiękach, lecz na tym wszystkim, co przychodziło mu do głowy i

wracało z dalekich otchłani jego umysłu do bliskiej świadomości, gdy wykonywał ten utwór.

w jego wspomnieniach pojawił się moment, gdy po raz pierwszy maszyna losująca w postaci ręki pani z recepcji wylosowała właśnie ten klucz, z obdartą naklejką „105” na breloku. Majowe popołudnia miały to do siebie, że w perspektywie nadchodzących egzaminów trudno było znaleźć salę, która nie byłaby zajęta już od początku dnia przez innego muzyka, co miało swoje potwierdzenie w pustych haczykach, gdzie zazwyczaj wisały klucze do nowszych pomieszczeń.

- Wszystkie inne sale są już zajęte, a tam dawno nikogo nie było – stwierdziła – możesz odkurzyć klawisze, przyda im się.

I tak też trafił do pokoju, który obecnie gościł go codziennie, wtedy wyglądał nieco żywiej przez ówczasnie nie wypłowiałą żółć ścian, która teraz przypominała co najwyżej kremowy.

Pamiętał dobrze, gdy zasiadł po raz pierwszy przy starym fortepianie, rozgrzewając swoje palce na klawiszach, chodzących tak ciężko w porównaniu z instrumentami, do których był przyzwyczajony, naciskając w pedał, który, jak mu się wtedy wydawało, nieznośnie stukał przy używaniu. Westchnął niezadowolony, powtarzając sobie w myślach, by następnego dnia zjawić się znacznie wcześniej i zająć lepszą salę, i sięgnął do plecaka, by wyciągnąć z niego metronom, lecz zanim jeszcze zdołał go włączyć, zza ściany usłyszał dźwięki innego instrumentu, przerywające ciszę panującą w otoczeniu. Przeklął jeszcze raz tę cholerną salę, która nawet nie była dobrze wytłumiona, lecz zaprzestał wykonywanej czynności, wsłuchując się w odgłosy zza ściany.

W niezliczonej ilości uczniów, którzy uczęszczali do tej samej szkoły, nie sposób było znać każdego, ale wsłuchując się lepiej w wykonawcę, zastanawiał się, jakim cudem jeszcze nigdy nie słyszał kogoś o tak wielkim talencie. Nie był w stanie rozpoznać utworu, który był grany, nie był nawet pewien, czy to co słyszy, to skrzypce, czy może altówka, ale siedział osłupiały na starym krzeselku, słysząc coś tak pięknego, czego wydawało mu się, że nie doświadczył jeszcze nigdy. Minęło może pięć, może dziesięć minut, a on nie ruszył się do czasu, aż nie usłyszał ostatniego z dźwięków i odgłosu oderwanego od strun smyczka.

A potem zrobił coś, czego sam by się po sobie nie spodziewał – zaczął bić brawo. Następnego dnia poprosił o klucz do tej samej sali.

Jego palce błądziły teraz po całej szerokości klawiatury, grając drobnego walca, który z czasem zamienił się w głośny odgłos rozpaczy, a drobne muśnięcia zamieniły się w mocne uderzenia, którym zaczęły towarzyszyć pierwsze krople potu spływające po jego czole. Pasażami przechodził szybko przez kolejne gamy, próbując ująć ekspresją burzę emocji, która znalazła rozwiązanie w łagodnej melodii, zdającej się odzwierciedlać wspomniane czasy, na których samo wspomnienie pojawiał się obraz współczesnego czerwcowego słońca, które wpadało przez okno i rozświetlało stare pomieszczenie.

Przychodzenie do tego miejsca stało się pewnego rodzaju nawykiem – mimo że nadal wydawało mu się, że jego place grzęzną podczas szybkiej gry, a krzesło

powodowało ból nawet po krótkiej grze, coś sprawiało, że nadal tam przychodził, mimo widoku nowych breloków na ścianie przy recepcji.

Powód ten zjawiał się każdego dnia około godziny czternastej, wraz z głośno słyszalnym szczękiem kluczy w zamku, wychodził zaś po godzinie dwudziestej pierwszej, żegnając się tym samym odgłosem. W trakcie tych siedmiu godzin wydawało mu się, że wszelkie te niedogodności męczą go nieco mniej. Miał też nieraz wtedy problem ze skupieniem się na własnej grze, choć nie przypominał sobie, by kiedykolwiek ten problem dotykał go jakoś szczególnie – tym razem jednak wielokrotnie zawieszał się w połowie, rozproszony przez dźwięki dochodzące z pokoju obok.

Chociaż nie powtórzył już swego gestu bicia braw, jego zachowania były równie irracjonalne, jak to, co zrobił po raz pierwszy słysząc swojego sąsiada zza ściany. Kilka razy łapał się na tym, że przerywał grę i siadał pod ścianą, by lepiej się wsłuchać, spędził raz dobre pół godziny, czatując przy dziurce od klucza, by dojrzeć tajemniczego muzyka, ćwiczącego w sali obok, próbował nawet znaleźć w rejestrze kluczy nazwisko tej osoby, co skończyło się reprimendą od recepcjonistki i już więcej nie dostał od niej cukierka w nagrodę za granie do późna, co miała w zwyczaju robić.

Gdy ostatni raz trafił tam przed wakacjami, obok panowała cisza, co potęgowało jego rozczarowanie, spowodowane tym, że wybranie się na koncert końcoworoczny z nadzieją usłyszenia skrzypka skończyło się na nudnych trzech godzinach. Zaczął grać, chociaż miał na to mniejszą ochotę niż zazwyczaj, a tym razem wszystko przeszkadzało mu jeszcze bardziej.

A gdy skończył i wstał, by już zbierać się do wyjścia, z sąsiedniego pomieszczenia dobiegły do niego oklaski.

I gdy wreszcie, znacznie później niż początkowo zamierzał, opuszczał to miejsce, na podłodze znalazł karteczkę, zapisaną drobnymi, zaokrąglonymi literami:

„Mam ogromną prośbę – Chopin, ballada g-moll”

Z trudem wyrabiał się z graniem tak szybkich wartości, które mimo swojego żartobliwego i wesołego charakteru, były dla niego najbardziej problematyczne. Mimo że utwór wyćwiczony miał niemal do perfekcji, nadal, choć fragment ten przypominał mu o tak dobrych wspomnieniach, był dla niego szczególnie skomplikowany.

Popęnił błąd. Jeden, drugi, lecz ta liczba nadal nie przypominała tego, jak przez tamte wakacje całymi dniami ślęczał nad nutami, których poprawne zagranie okazało się być o wiele za trudne na jego możliwości, ale mimo tego walczył z partyturą, nawet jeśli każdy takt kosztował go całe godziny pracy.

Drobną karteczkę traktował jak obietnicę, którą złożył i nie mógł jej złamać. Przyczepił ją do ściany nad łóżkiem tak, by wiedzieć ją, gdy rano wstawał z perspektywą spędzenia połowy dnia na dalszym opracowywaniu utworu i gdy szedł spać, wiedząc, że to samo będzie robił również i dnia następnego. Nie wiedział, czemu to robi, nie mógł pojąć, dlaczego dotychczasowe rozsądne myślenie zamieniło się w zachowanie szaleńca, ale liczył, że spełnienie zachcianki tajemniczego muzyka pozwoli mu wreszcie go spotkać.

Mógł przecież też wparować prosto do sąsiedniego pomieszczenia i rzucić prosto z mostu, że tak piękna gra sprawiła, że czuje, że znalazł miłość swojego życia, ale uznał to za nieco zbyt bezpośrednią metodę, chociaż niejedno wrześnie popołudnie spędził, trzymając rękę na klamce i zastanawiając się, czy aby na pewno nie jest to najszybsze rozwiązanie jego sercowych dylematów.

Zamiast tego decydował się na częstsze i głośniejsze klaskanie, na improwizowanie drobnego akompaniamentu do melodii słyszanych z sąsiedztwa, zauważył też, że znacznie częściej wypatrywał wśród uczniów tych, którzy w rękach mieli futerał na skrzypce i próbował z ich twarzy wyczytać, czy nie oni mogliby być bywalcami pomieszczenia „106”. Za każdym razem czekał też, aż usłyszy odgłos zamknięcia drzwi, by przez następny czas nadal mozolnie ćwiczyć utwór zapisany na kartce, który z czasem zaczął przypominać formę zbliżoną do zamierzonej przez kompozytora.

Chociaż wydawało mu się, że z czasem takie postępowanie nie doprowadzi go donikąd. Reprimendy za nieuwagę od nauczycieli stały się stałym elementem zajęć, a sam wiedział, że podąża ślepą drogą. lecz czuł, że wszystko to zaszło zbyt daleko, by udało mu się pozbyć codziennych myśli, które stały się nałogiem i tak oczywistym elementem jego dnia jak jedzenie, picie, czy branie klucza do „105”.

Sąsiad, jak mu się zdawało, ćwiczył w tamtym miejscu coraz rzadziej. Niegdyś jego codzienne, kilkugodzinne przebywanie tam zmieniło się w pobyty trzy, może cztery razy w tygodniu, wstępując już nie na pół dnia, lecz jedynie wieczorem. nie słyszał też od skrzypka żadnych zachęt do wspólnego improwizowania, czy zwykłego grania z nudy, zamiast tego dochodziły do niego coraz to nowe sposoby na ćwiczenie gam, pasaży i wszystkich możliwych technik gry. On zaś zastanawiał się wciąż, czy ten utwór, nad którym siedział już całe miesiące, jest na tyle gotowy, by móc zaprezentować go przed swoją jedyną publiką w okolicy, za każdym razem rezygnując, gdy jego palce zawisały tuż nad dźwiękami go rozpoczynającymi.

Musiał być idealny, a idealny nie był. Bo jak opowiadać tak smutno dźwiękiem o tęsknocie, gdy w zasadzie jej się nie czuje?

Modulacja z powrotem prowadziła pianistę w część molową, a on po raz kolejny wracał do pierwszego tematu ballady, opowiadając znów to, od czego zaczął, gdzie tym razem nie przeradza się ona w uroczą historię, lecz rozpętuje się prawdziwa burza emocji. Zauważył, że jego ręce się trzęsą, a dotychczasowo jedynie lekko niespokojny oddech przerodził się w niemalże dyszenie.

Przed oczami miał moment tego pamiętnego wieczoru, gdy siedział po raz kolejny w tej starej sali, choć wydawało mu się, że jego pobyt tam jest już bezcelowy – od dobrych dwóch tygodni nie słyszał dźwięku skrzypiec ani razu. Siedział więc przy instrumencie, ćwicząc nudne etiudy, które już dawno zagrał na egzaminie, lecz jego przygnębienie zniechęcało go do robienia czegokolwiek innego.

W pewnym momencie usłyszał dźwięk z pokoju obok, za ledwie szurnięcie przesuwanego krzesła i skrzypnięcie otwierających się drzwi. Niewiele zastanawiając się, z impetem szarpnął klamkę i wyszedł z pomieszczenia, w którym przebywał, a

stanąwszy na korytarzu, ujrzał wreszcie osobę, którą tak usilnie chciał zobaczyć choć przez chwilę przez cały ostatni rok.

Mógł być pewien, że nigdy jej nie przeoczył – wśród całej rzeszy mijanych skrzypków nigdy nie dostrzegł jej twarzy. Długie, blond włosy miała upięte w kucyk, a jej czarna sukienka była już nieco pomięta. Spojrzał na jej twarz, usta miała pomalowane szminką, a jej niebieskie oczy patrzyły na niego samego.

- Och, to ty – powiedziała, uśmiechając się perliście – ostatnio coś rzadko się słyszeliśmy, wybaczone, ale byłam nieco zajęta, sam rozumiesz, egzaminy wstępne to ciężka sprawa.

Zaniemówił. Patrzył się jedynie na nią z szeroko rozwartymi oczami przez kilka sekund, a zarówno jego umysł, jak i struny głosowe całkowicie zaprzestały współpracy, tak że nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

- Pięknie grasz, tak w ogóle – dodała dziewczyna.

- Dz...dziękuję – wyrzucił, jękając się – M..mogę zagrać ci balladę? – powiedział, lecz jego propozycja zabrzmiała bardziej jak pytanie.

- Z olbrzymią chęcią posłuchałabym, ale niestety się spieszę. Wybaczone – odparła, a na jej twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. – Trzymaj się! – dorzuciła i odeszła w drugą stronę, a stukot jej obcasów naśladował pęknięcia, tworzące się w jego sercu.

Ostatni fragment utworu grał tak, jak gdyby nie był to on sam. Czuł, że brak mu oddechu w płucach, że pot spływa mu po twarzy i miesza się z łzami, które zaczynały się tworzyć w kącikach oczu, a ręce ledwo nadażały, grając pasażerami po klawiaturze. Walił palcami w klawisze, schodząc interwałami, zatrzymując się na chwilę przed ostatnim dźwiękiem, tak, aż poczuł, że być może udało mu się grą choć trochę poskromić emocje, nadal tak silne, choć kolejny rok mijał od tamtych wydarzeń.

Oktawa na tonice zakończyła utwór, on zerwał palce z klawiatury i westchnął.

Cisza nieobecnych oklasków wypełniła pokój obok.